

Seria dziwnych morderstw,
tajemniczy kod i sekret,
który może wstrząsnąć światem

Londyn, 1665 rok. Bystry i pojętny Christopher Rowe jest uczniem w aptece mistrza i życiowego przewodnika Benedicta Blackthorna, który uratował go przed smutnym losem sieroty. W czasie wolnym od nauki tworzenia tajemniczych mikstur, czytania opastych ksiąg i rozwiązywania łamigłówek chłopak najchętniej spędza każdą minutę ze swoim przyjacielem Tomem.

Idyllę przerywa nagle seria mrozących krew w żyłach morderstw londyńskich aptekarzy. Christopher musi znaleźć rozwiązanie zagadki, zanim... sam stanie się ofiarą. Czy uda mu się zrobić użytek ze swoich talentów oraz zdobytej wiedzy i uchronić cały świat przed nadciągającym niebezpieczeństwem?

Kevin Sands – ukończył fizykę teoretyczną. Był też nauczycielem oraz konsultantem biznesowym. *Klucz Blackthorna* jest jego powieściowym debiutem.

MBP Cieszanów
Klucz Blackthorna /



M000010732

BLAKEY
12/16
3497

KLUCZ
BLACKTHORNA

KEVIN SANDS

WILGA

KLUCZ BLACKTHORNA



KEVIN SANDS

Rozdział 12

Matka Toma poprawiła mi kołnierz.

– Już – powiedziała. – Nie jest źle.

Tom bardzo urósł w krótkim czasie, więc musiała się cofnąć o trzy lata, nim znalazła coś, co pasowało na mnie. Teraz byłem wyposażony w parę brązowych spodni z wełny i lnu oraz w białą lnianą koszulę z bordową plamą na rękawie. Dobrze pamiętałem tę koszulę. Tom miał ją na sobie w dniu, w którym go poznałem.

Minęły trzy miesiące, odkąd zostałem uczniem. Mistrz Benedict dał mi do studiowania książkę o starożytnych wojnach. Po przeczytaniu o katapultach byłem zafascynowany ideą zbudowania takiej maszyny. Mistrz Benedict pozwolił mi użyć do mojego przedsięwzięcia trochę drewna z warsztatu i klonowych gałęzi. W niedzielę po mszy wtaszczyłem moją miniaturową maszynę oblężniczą na Bunhill Fields w celu jej przetestowania, niosąc jutowy worek z asortymentem gnijących owoców na amunicję przewieszony przez ramię.

Jak się okazało, katapulta wyrzucała pociski bardzo dobrze. Nie była jednak wystarczająco celna. Patrzyłem z przerażeniem, jak pierwsza rzecz, którą wystrzeliłem – okropnie przejrzały granat – dziko wykręciła w lewo i trafiła dość dużego chłopaka w sam czubek głowy, rozbrzgując sok po całej jego koszuli.

Skonsternowany, spojrział w chmury, jakby zastanawiał się, czemu Bóg obrzuca go owocami granatu. Wtem spostrzegł w trawie moją katapultę. Podszedł do mnie, trzymając na rękach bardzo małą dziewczynkę, która śmiała się, gdy bordowe nasiona opadały z włosów chłopca na jego kołnierz.

Pierwszym odruchem było uciekać tak szybko, jak mogłem. Wyrośłem otoczony większymi chłopcami w Crippligate, więc oczekiwałem porządnego lania. Zamiast tego przemówił raczej spokojnie, zwłaszcza że pachniał kompostem.

– Czemu atakujesz mnie owocami?

– Przepraszam – odpowiedziałem. Miałem powtarzać to wiele razy przez kolejne lata. – Nie celowałem w ciebie, przysięgam.

Dziewczynka w jego ramionach wyciągnęła maleńkie piąstki ku niebu i wydała radosny okrzyk.

– Jeszcze raz!

Pokazałem gałąź, która służyła w katapulcie za wyrzutnię.

– Powinno iść prosto. Chyba zepsułem coś po drodze. Chłopak przyjrzał się wygiętej wyrzutni.

– To klon?

Pokiwałem głową.

– Tylko to miałem. Pewnie powinienem zrobić ją z cisu.

Chłopak pokręcił głową i pomyślał chwilę.

– Cisy rosną przy cmentarzu – powiedział. – Masz nóż?

Użyliśmy nowych cisowych gałęzi, by naprawić wyrzutnię, a dziewczynka, najmłodsza siostra Toma, Molly, wbijała swoje małe paluszki w trawę. Później wystrzelaliśmy resztę owoców i cała nasza trójka wiwatowała przy każdym strzale. Po wszystkim pobiegłem do domu, by pochwalić się mistrzowi Benedictowi moją katapultą i opowiedzieć o Tomie, moim nowym przyjacielu.

Pamiętam, jak mistrz Benedict słuchał, lekko się uśmiechając.

– Bardzo dobrze – powiedział.

Odwrociłem się, by matka Toma nie widziała mojej twarzy.

Gdy zszedłem na dół, ojciec Toma zagonił już wszystkie swoje dzieci do roboty. Dziewczynki w bocznym pokoju robiły pranie, ochlapując swoje piekarskie fartuchy wodą z mydlinami. Cecily, dwunastoletnia i najstarsza z nich, wdmuchnęła mi pianę we włosy, gdy przechodziłem. Reszta śmiała się i podnosiła garście bąbelków. Wybiegłem stamtąd, zanim pokryły mnie mydlinami.

Znalazłem Toma przy tylnym wejściu, szorującego schody. Pokręcił głową, gdy zobaczył, co miałem na sobie.

– Powiniennem był uciec – powiedział.

– Przede mną czy przed katapultą?

– Ty jesteś katapultą – powiedział, ale nie przyłożył się do tego żartu. Westchnął. – Bardzo mi przykro z powodu mistrza Benedicta. Lubiłem go.

– Bałeś się go.

– Tak. Ale był dla ciebie dobry. – Tom przyjrzał się mojej twarzy, znowu westchnął, tym razem głębiej. – No dobra.

– No dobra co?

– Pomogę.

– W czym pomożesz?

– W tej nowej intrydze, czymkolwiek ona jest.

Wyciągnąłem z kieszeni kartkę z rejestru.

– Znajdziemy zabójców mistrza Benedicta – powiedziałem.

Tom gapił się na trzy linijki na stronie.

†Δujar.Odyma.rbi ma w l.dop.3Hg.Uhu.←

↓Mo8→

koniec.miecz

neminiđixeris

Weszliśmy do środka, by je spokojnie odczytać. Rozprostowaliśmy papier na pustym stole roboczym w piekarni. Chociaż interes do końca tego dnia był już zamknięty, to zapach świeżo upieczonego ciasta unosił się w powietrzu jak chmura.

– To wiadomość – powiedziałem. – Dla mnie. Mistrz Benedict napisał ją, gdy... – Głos mi się załamał.

Przestań – skarciłem się w myślach. – Mówiłeś, że nie będziesz płakać. Obiecałeś.

Odchrząknąłem.

– Mistrz Benedict musiał znać swoich morderców. Napisał to dla mnie, kiedy wiedział, że umiera.

Tom wytrzeszczył oczy.

– Tu są imiona morderców?

– Tak myślę. Jeszcze tego nie rozpracowałem. To szyfr.

– Zaczekaj – powiedział Tom. – Jeśli tu jest napisane, kto zabił, czemu nie dasz tego lordowi Ashcombe'owi?

– Mistrz Benedict zabronił.

- Tak?
- W ostatniej linijce - odpowiedziałem.
- Tom ją przeczytał. A przynajmniej próbował.
- *Nemi...* uch. Co? Czy to w ogóle jest słowo?
- Dwa słowa. To łacina. Jest napisane „*nemini dixeris*”. Mistrz Benedict zaszyfrował to, żebym gdy to zobaczę, od razu wiedział, co robić.
- Ukraść stronę?
- Trzymać to w sekrecie. *Nemini dixeris* znaczy „nie mów nikomu”.
- Dlaczego chciałby zachować imiona morderców w tajemnicy?
- Nie wiem - przyznałem. - Ale jeśli masz kawałek papieru, możemy się tego dowiedzieć.

Przyglądaliśmy się pierwszej linijce wiadomości. Była zakodowana jednym z pierwszych szyfrów, których nauczył mnie mistrz Benedict.

†Δujar.Odyma.rbi ma w l.dop.3Hg.Uhu.←

- To jakieś bzdury - powiedział Tom.
- Właściwie to angielski. Stary, dobry angielski. Zmarszczył czoło.
- Widzę jakieś słowa. Odyma... ma... w. No i do.
- O to chodzi. To wygląda jak właściwe słowa, ale mają cię tylko zmylić. To samo z kropkami. Strzałka to jedyna ważna rzecz. Mówi ci, co trzeba zrobić.
- Wskazał w lewo.
- Iść w tę stronę?
- Tak.
- Nie rozumiem.

- W linii - powiedziałem. - W tę stronę w linii. Zrozumiał.
- Masz na myśli od tyłu.
- Właśnie tak. Pozbądź się kropek i wielkich liter... - zapisałem to.

ujarodymarbimawldop3hgubhu

- ...i od tyłu...

uhugh3podlwami Bramy do raj

- ...i masz słowa - powiedziałem.

U Hugh 3 pod lwami Bramy do raj

Tom był pod wrażeniem.

- To nie znaczy, że... czy mistrz Hugh go zabił?
- Co? - Zmarłem. - Oczywiście, że nie.
- Ale mówiłeś, że mistrz Benedict poda imiona zabójców. Chociaż oczekiwałem czegoś bardziej w stylu „Zrobił to Arthur Quackenbush, a niech go licho”.
- To nie jest „Hugh” tylko „u Hugh”. U Hugh 3.
- U Hugh trzy co? - dopytywał się Tom. - I jakie lwy? Te z królewskiego zoo? W Tower?
- Nie jestem pewien - odpowiedziałem. - Może jest w drugiej linijce.

↓M08→

koniec.miecz

- Pamiętam to - powiedział Tom. - To ten sam szyfr co w recepturze na proch. Czy nie powinno tu być liczb?

– Są. – Wyciągnąłem do niego kartkę. – Powąchaj. Tom wyglądał na zdezorientowanego.

– To jakiś żart?

– Poważnie.

Podejrzliwie nachylił się i powąchał papier.

– Czy to...? – Usiadł prosto. – Cytryny. Pachnie cytrynami.

– Zanim mistrz Benedict odesłał mnie ze sklepu – powiedziałem – poprosił o przyniesienie soku z cytryny. Nie rozumiałem po co, skoro to lekarstwo na szkorbut, a żaden z naszych klientów na to nie chorował. Później, kiedy wróciłem, położył rejestr pod słojem na półce. Dopiero po zobaczeniu wiadomości pojąłem, co zrobił. Napisał liczby sokiem z cytryny. Ukrywa szyfry w szyfrach.

– W jakim celu miałyby to robić? – zapytał Tom.

– Ponieważ cokolwiek to jest, naprawdę nie chce, żeby ktoś poza mną to widział.

– A jak my to zobaczymy?

– Ogień – odpowiedziałem. – Ciepło zagotuje sok z cytryny. Potrzebujemy jakiejś świeczki.

Tom użył żarzących się węgli do zapalenia cienkiej woskowej świeczki. Poprosiłem go, by trzymał ją prosto.

– Jeśli papier się spali...

Trzymał wosk tak mocno, że myślałem, iż go zmiążdży. Musiałem uspokoić drzenie własnych rąk, gdy przybliżałem kartkę do płomienia. Powoli przeciągałem ją nad nim. Lekko pachniało cytrusami. Jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki na kartce pojawiły się ciemnobrązowe znaki.

↓Mo8→05142020222207201601080420210115

koniec.miecz

Przez chwilę tylko na to patrzyliśmy. Następnie rozpi-
sałem klucz do szyfru.

A Ȧ B C Ć D E Ę F G H I J K L Ł
24 25 26 27 28 29 30 31 32 01 02 03 04 05 06 07

M N Ń O Ó P R S Ś T U W Y Z Ź Ż
08 09 10 11 12 13 14 15 16 17 18 19 20 21 22 23

Przetłumaczyliśmy wiadomość. Odchyliliśmy się na krzesłach.

– Co to ma znaczyć? – zapytał Tom.